Konstytucja. Nick Webb

2017-09-01



Czyli zbyt wiele pożegnań.

Około roku 2575 Ziemię i jej kolonie zaatakował tajemniczy Rój. Nie wiadomo jak wyglądali przybysze – każdy okręt, który udało się zniszczyć, był wypełniony mazią. Wyglądało to tak, jakby jakiś system niszczył załogę. Rój miał potężną przewagę liczebną i technologiczną. Ziemianie dostali potężny łomot, obcy dotarli nawet na Ziemię i zniszczyli kilka miast. Potem nieoczekiwanie się wycofali.

Miejsce „z góry upatrzonych pozycji” jest nieznane ziemskie jednostki zwiadowcze, odkryły kolonie obcych, ale były kompletnie opuszczone, bez najmniejszych śladów życia. Świata macierzystego nie udało się odkryć.

Niewielu żołnierzy biorących udział w obronie Ziemi jest jeszcze w czynnej służbie. Wśród nich jest kpt. Timothy Granger, Służy on jako dowódca na ostatnim okręcie, który brał udział w walkach. „Konstytucja” była już stara podczas ataku Roju. To ostatni czynny okręt z tak zwanej Starej Floty. Jest przestarzały, sam ponowny skok kwantowy zajmuje jej 2 godziny, gdzie w nowoczesnym okręcie zwiadowczym to 2… minuty. Owszem jest potężnie opancerzony, choć obecne okręty mają inny, lżejszy, nowocześniejszy pancerz.

Z takim zabytkiem nie wiele można zdziałać, admiralicja decyduje, aby zamienić „Konstytucję” na muzeum. Kpt. Granger mało szlag nie trafił, jak o tym usłyszał, na dodatek do tego zadania została wyznaczona kmdr Shelby Proctor, młoda ambitna i nieznosząca sprzeciwu kobieta. Charakter bardzo podobny do Grangera – powoduje to natychmiastowe spięcia i brak sympatii po każdej, że stron. Ona chce jak najszybciej przekształcić okręt, on za wszelką ceną gra na zwłokę.

Tuż po końcowych przemowach, na uroczystej demobilizacji, Układ Słoneczny atakuje wróg. Rój

wrócił. Jeszcze bardziej zaawansowany technologicznie, nie spał on przez te 75 lat. Ziemska flota podejmuje walkę, ale okręty nie wiele mogą zdziałać. Co ciekawe (i oczywiste – o tym jest powieść) Konstytucja wraca z demobilu i toczy dość wyrównaną walkę z obcymi.

„Konstytucja" Nicka Webba to dość klasyczna powieść science-fiction. Jest obcy, są ziemianie, walki w kosmosie, wspaniałe, a raczej wspaniały, choć przestrzały okręt. Jest charyzmatyczny dowódca, jest poświecenie, odwaga i zacięta walka. Jest wciągająca akcja i to bez przerwy. Nie ma w niej nadprzestrzeni, czy podprzestrzeni – są skoki kwantowe, taka miła odmiana od sztampy w innych powieściach.

Są jednak rzeczy, które w niej rażą – pomimo roku 2650, konflikty międzynarodowe się nie skończyły, a że Webb jest Amerykaninem to ci źli to Rosjanie. Książka jest bardzo proamerykańska, co mi za bardzo nie pasuje, ale można to jakoś przełknąć. Sytuacje są dość mocno przewidywalne. Jednak i to można przeżyć. Ogólnie pierwszy tom cyklu Stara Flota czytało mi się dobrze, nie jest jednak powieść na poziomie „Pól dawno zapomnianych bitew" – do Roberta Szmidta Webbowi jednak brakuje.

Artur Wyszyński